

Andrzej Stasiuk

Z I M A

Obrazy

Kamil Targosz



Andrzej Stasiuk

Zima



Wołowiec 2017

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki Kamil Targosz

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Ilustracje na okładce i wewnątrz tomu Kamil Targosz

Copyright © by Andrzej Stasiuk, 2001

Korekta Małgorzata Poździk / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Sandra Trela / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-483-1

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Paweł

Mietek

Grzesiek

Paris–London–New York

Zima

Kolofon

Paweł

No więc kiedyś był tu dwór, a teraz stoi chałupa Pawła. W tym miejscu rozchodzą się drogi. Dwie wiodą do lasu, ciągną się dnami dolin i w końcu przepadają w jarach potoków, błocie i olszynach. Trzecia prowadzi na północny zachód i w świat.

O wpół do ósmej Paweł wychodzi z domu i w swojej jasnej czapce z daszkiem rusza przez wieś. Mija Wtorków, mija Michała, przechodzi mostek i zaczyna iść prosto w górę, bo ktoś kiedyś wymyślił tę szosę tak, jakby przez półtora kilometra miała prowadzić wprost do nieba. Wszystko jest w nim okrągłe, stworzone po to, by turlać się w dół, więc co jakiś czas przystaje, odpoczywa i wtedy z daleka, z dołu, ze środka wsi wygląda jak maleńki jałowcowy krzaczek w bezmiarze łąk. Między Obszarem i Mareszką rozpędza się wiatr i rozbija się dopiero o Żydówkę. Stąd ta biała czapeczka.

Autobus jest o wpół do dziewiątej i Paweł może sobie odpocząć trzy albo i cztery razy. Czasem, gdy wyjdzie trochę wcześniej, może nawet zrobić sobie po drodze wygodny stołeczek z paru płaskich kamieni. Te rozsiane tu i tam małe monumenty to są kamienie milowe jego wędrówek.

W końcu wydostaje się na Banicką Górkę. Rozwlekły grzbiet Magury przeciąga się w słońcu, a spadzista budka przystanku jest pusta jak zwykle. Wokół nie ma nic, tylko dwa kilometry poniżej cerkiewnej kopuły widać białą kreskę autobusu, w którym sadowią się pegeerowskie chłopaki wystrojone jak na bal. Buty w szpic, złote blaszki na obcasach, kolczyki, kucyki, trefione, tlenione grzywki i napisy z całego świata gdzie popadnie. Wiatrówka Pawła jest granatowa i skromna. Takie same są spodnie w kant. Gdy daleki myślNIK autobusu rusza, Paweł zdejmuję czapeczkę i chowa do kieszeni. Wyjmuje pieniądze, odlicza złotówki i drobniaki, żeby nie robić kłopotu kierowcy, ściska je w dłoni i czeka.

A na Zawodziu jest wtorkowy jarmarczny ruch. Samochody z Dukli i Sącza wypatrują świateł, ale sygnalizacja jest dzisiaj ślepa, więc trąbią, popyrkują i pchają się jak ludzie w tłumie. W wystawie mistrza szklarskiego Chrzęścika przeglądają się dziewczyny z gastronomika, w barze Pod dziewiątką za firankami jest żurek z kiełbasą, a po drugiej stronie rzeźnicza firma Amigo wabi uśmiechniętą krową. Na lewo za skrzyżowaniem są cuda hiszpańskiej terakoty w kolorze nieba i ognia, trzyosobowe wanny, złożone krany, bidety z wodotryskiem, automatyczne klozety i spłuczki z jedwabnym sznurkiem oraz pozytywką.

Na to wszystko patrzył Paweł. Szedł posuwistym, trochę zadziornym krokiem, a w jego błękitnych oczach odbijał się świat i wielokrotniał.

Skręcił w lewo na targ, między żuki i ciężarówki, z których wystawiono szeregi pufiastych kanap i foteli w kwieciste tłoczone wzory. Obok stały lśniące stoły na spiralnych ślimaczych nogach, zestawy do relaksu obciągnięte czarną skórą, zielone gaje plastikowych bluszczów, palm i rododendronów, taborety w tureckie desenie, karmazynowe dywany w arabeski i rozety, a dalej cała reszta rzeczy służących do lenistwa, i tak aż do miejsca, gdzie zaczynał się rewir prosiąt, cieląt i krów uwieczonych w drabiniastych dwukółkach.

Paweł przechadzał się wśród mebli, macał obicia, przysiadł na kanapach, próbował rozłożystych foteli i przymykając oczy, wystawiał twarz do słońca. Pod palcami czuł wytworne skrzypienie skóropodobnych imitacji. Tuż obok szumiały zielone wody rzeki Ropy i chwilami robiło się tak, jak na dalekich wakacjach. W źrenicach sprzedawców zapalała się nadzieja.

– Kupujecie? – zapytał jeden z nich.

Paweł otworzył oczy, uśmiechnął się i odpowiedział:

– Kto by tak od razu kupował taką dużą rzecz? Popróbować trzeba.

– No bo tak siedzicie, jakby było wasze.

– Przecież to do siedzenia – odparł Paweł i wstał, skrzypiąc czarną skórą. Obciągnął na brzuchu wiatrówkę, spojrzał w dal nad głową handlarza i dokończył:

– Może kupię, może nie kupię. Zresztą nie noszę przy sobie gotówki.

Włożył ręce do kieszeni i poszedł w stronę mostu. Wydawało się, że jarmarczny tłum porwie go jak piłeczkę i uniesie, ale on nie poddawał się pospiesznemu nurtowi. Stał dokładnie na środku mostu i zapatrzył się w białe grzywki skaczących po kamieniach fal. Ale tak naprawdę to nie było wiadomo, czy patrzy na rzekę, czy w ogóle na świat, na rozległe targowisko, a właściwie dwa, bo oprócz wtorkowego po prawej, po lewej był codzienny bazar pełen bud, kramów i kiosków ze wszystkim, czego tylko można zapragnąć. Ludzie napływali ze wszystkich stron, gęstnieli, skupiali się w wąskich przesmykach, a ich serca były coraz żywiej i żywiej, bo przecież oczy zawsze widzą więcej, niż dłonie mogą dotknąć i wziąć.

Tego samego dnia widywano Pawła w wielu jeszcze miejscach, chociaż nikt pewnie go nie zapamiętał. Stał w sądzie na parterze i czytał tablicę ogłoszeń, czytał orzeczenia kolegów i tabliczki na drzwiach prokuratorów, referentów i sędziów, bo to też były wieści ze świata. Później był w Urzędzie Pracy i uważnie zagłębiał się w propozycje zatrudnienia wiszące na ścianach, w te wszystkie „potrzebny niepijący murarz z praktyką”, „zatrudnię stolarza na pół etatu – firma pogrzebowa Smutex, dzwonić przed szesnastą” albo „dam pracę dla bezdzietnego małżeństwa po ślubie kościelnym”. To wszystko żółkło, zwijało się w ruloniki i strzępiło na brzegach od spojrzeń ludzi stojących w kolejce do kasy.

Paweł jako rencista nie był wprawdzie zainteresowany pracą, ale lubił wiedzieć, co w trawie piszczy i jak się rzeczy mają. Wracając po południu do domu, mówił do tego lub owego w autobusie: „Więcej ludzi ostatnio mrze”. Albo: „Ostatnio ludzie więcej budują”, by potem przejść do spraw konkretniejszych i personalnych w rodzaju: „A sędzia Mackiewicz to już na emeryturze i na jego miejsce przyszedł nowy, ale nazywa się jakoś tak, że trudno zapamiętać”.

No, ale to dopiero gdzieś koło wpół do piątej. Przedtem zachodził do piwiarni Antalek na tyłach Urzędu Pracy, gdzie od szóstej rano zbierali się bezrobotni. Brał pepsi-colę, siadał i czekał, aż trafi się ktoś, kogo będzie

można posłuchać. Bo widzieć to jedno, a słyszeć zupełnie co innego. I przychodzili jeden po drugim. Przychodził Władek w nowym kowbojskim kapeluszu i opowiadał o Warszawie, bo akurat wrócił – stąd ten kapelusz i buty z wężowej skóry:

– No, niby się żyło w baraku, ale jaką się wilę stawiało. W samej łazience można by z rodziną mieszkać. Jak jeden z taczkami rano zabłądził, to go dopiero na fajrant znaleźliśmy. No i w ogóle kultura, latarnie się świecą, tramwaje dzwonią i autobusy przez całą noc jeżdżą. Nie to, co tu.

Za barem pan Leon wycierał szklanki i sprawdzał czystość, zerkając przez nie na telewizor. Pstrykał od czasu do czasu pilotem, jakby szukał dla tej kontroli najlepszego kanału.

– A nam gasili o dziesiątej – powiedział Janek, przysiadając się do sąsiedniego stolika.

– Co wam gasili? – zapytał Władek.

– Światło. A co mieli gasić – odpowiedział Janek.

– To na strasznym zadupiu żeś był.

– Samo centrum Sącza. Zaraz przy rynku – sprostował Janek i zaczął opowiadać, jak spędził czterdzieści osiem godzin na przejściówce, ale go puścili z braku dowodów.

– Nie mogli znaleźć? – zapytał Władek.

– Były nie do znalezienia – odpowiedział ze spokojem Janek.

Błękitne oczy Pawła wędrowały od jednego do drugiego. Wydawało się, że są całkiem przejrzyste i niematerialne, bo opowieści przybierały postać obrazów. Wchodziły w Pawła bez najmniejszego oporu i rozświećlały jego wnętrze. Mieszały się tam w środku na przedziwne i skomplikowane sposoby, i w końcu nie było wiadomo, czy Paweł słucha, czy wpatruje się w świat, czy też spogląda gdzieś w siebie, w cudny kłębek własnej głowy.

A potem na czwartego do dwóch stolików przysiadł się Bajer z brodą i w skórzanej kurtce, bo miał akurat trzy dni wolnego i zostawił swój cyrk

Pieniny na przedmieściach Przemyśla, żeby wpaść i sprawdzić, czy w mieście i w Antańku wszystko idzie po staremu.

– Tylko domowe zostały. Kucyki, osły, owce, kozy i psy. To już nie jest cyrk. To jest gospodarstwo rolne. Nie ma dzikich. Kawa bez kofeiny, piwo bez piany, cyrk bez lwów, dźwięk bez obrazu, ekologia. Rozstawiamy budę w Krośnie, a tu wylatują jakieś długowłose szczyle z transparentami. W Rzeszowie to samo. W Tarnobrzegu też. I nas wyzywają od morderców. Że zwierzęta męczymy. Co oni wiedzą. Taka Świetlana, co robi za kobietę-gumę, to się męczy. Ja się męczę. Klauni, jak jest upał, też się męczą pod szminką. A widział ktoś, żeby kiedyś słoń się zmęczył?

Później Paweł poszedł do Hotelowej i zamówił pierogi z mięsem. Jadł i uważnie czytał kartę, porównując wagi i ceny. Potem poszedł w stronę Rynku i przestudiował tablicę ogłoszeń. Oderwał kilka telefonów z różnymi ofertami i schował w kieszonce na piersiach obok rachunku z restauracji. Potem zajął się klepsydrami. Niektóre nazwiska były znajome, w niektórych nie zgadzały się imiona. Zestawiał daty urodzin ze swoją i na ogół wypadało na korzyść. Przypominały mu się twarze albo opowieści o znanych jedynie ze słyszenia nieboszczykach. Stał z zadartą głową i obrót rzeczy wciągał go w swój wir. Mijały minuty, a on krążył w kosmosie przedmiotów, domniemań, wyobrażeń i pragnień, bo przecież nawet proste „sprzedam malucha w bardzo dobrym stanie rocznik 1978” przywoływało wizję spokojnej porannej podróży. Wychodziłby wtedy ze swojego domu o jakiejś dowolnej godzinie, otwierałby drzwiczki kluczykiem z breloczkiem, wsiadał, zapalał silnik i ruszał powoli przez wieś, mijając dom Wtorków, Michała, mostek i potem spokojnie pod górkę, a pejzaż przesuwałby się po szybach jak w najlepszym telewizorze. Żadnego wiatru, zadyszki ani oczekiwania na autobus, nic, tylko barwne wstążki krajobrazu, a w środku ciepło i może nawet mały radioodbiornik z wieściami z Rzeszowa, z Krakowa, a gdy się przejedzie Banicką Górkę i minie masyw Magurycza, to nawet z Kielc. I powrót też o dowolnej porze. A jakby ktoś zamachał, to proszę bardzo i byłoby komu opowiedzieć o minionym dniu, o tych wszystkich splotach faktów, spostrzeżeń i hipotez.

Dlatego jeszcze raz przeczytał oferty i oderwał dodatkowe dwa jęczyczki z telefonami. Potem obszedł Rynek, minął magistrat z wieżyczką i zegarem, zatrzymał się na chwilę przy sklepie Levisa, pokręcił głową nad cenami portek bez kantów, skręcił w prawo, minął knajpę Piotrka Nowaka, z której ktoś ostatnio doprowadził żółwia z baseniku z wodotryskiem, minął sklep pana Wacka z materiałami piśmiennymi, popatrzył na stojący od tygodni szereg taksówek, przeciął Piekarską i po paru stopniach wszedł do sklepu z rowerami.

Stały zielone, stały czerwone, stały pomarańczowe i błękitne, i czarne, i wszystkie oplecione srebrnymi pnączami osprzętu Shimano. Lakier połyskiwał metalicznie i zmysłowo. Przypominały zwierzęta zbiegłe z techno łąk. Dotykał kierownic, głaskał siodełka i odczytywał napisy: Trek, Mountain, Happy Pedals.

– Słucham – powiedział sprzedawca. – Jaki pana interesuje?

Paweł już chciał odpowiedzieć, że w zasadzie interesują go wszystkie, ale powstrzymał się i odrzekł ostrożnie:

– Właściwie to tylko oglądam. U nas jest taka góra, że żaden rower nie podjedzie.

– Można poprowadzić.

Paweł popatrzył na sprzedawcę jak na kogoś znacznie młodszego i powiedział:

– Jak już człowiek wydaje na coś dziesięć milionów, to chyba nie po to, żeby to prowadzić.

Sprzedawca widać przyznał mu rację, bo odszedł w głąb sklepu i zajął się kwitami. Paweł pozostał przy rowerach. Dotykał delikatnie dźwigni przerzutek, przesuwiał dłoń po chłodnych lakierowanych ramach, badał palcami sprężystość opon, które wydzielały gorzkawą woń nowej gumy. I wtedy, chyba po raz pierwszy w życiu, przyszła mu do głowy myśl, że mógłby mieszkać gdzie indziej. Na przykład w Małastowie, gdzie jest tylko jedna niewielka górka, ta obok kościoła, a potem szosa wprawdzie wznosi się i opada, ale są to łagodne, dziecinne wzniesienia, jak choćby to obok Stasi Lisowej. Wtedy rower, nawet ten czerwony z pięcioma tylko

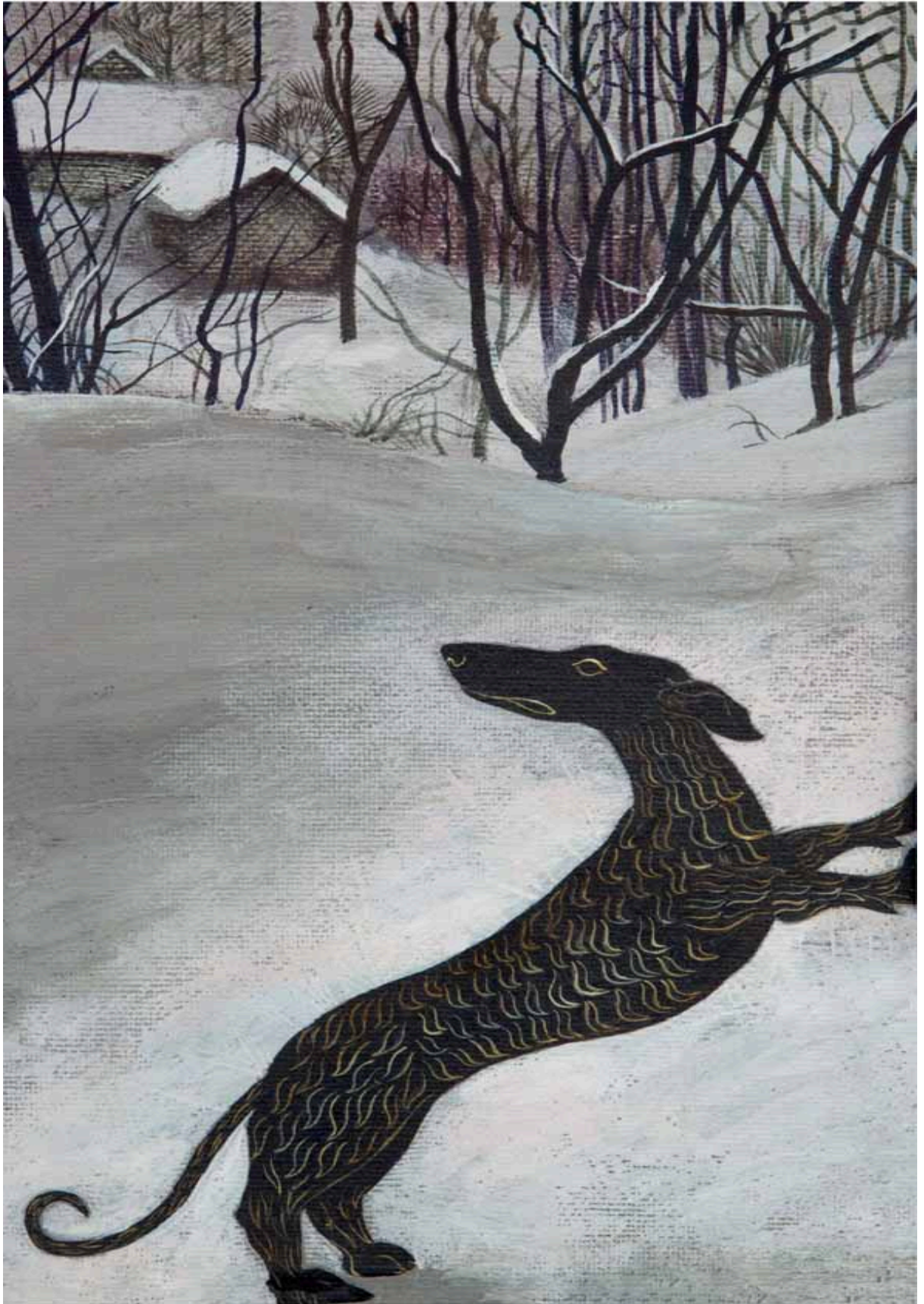
przerzutkami z tyłu, miałby sens. Wystarczyłoby się tylko trochę rozpędzić i do miasta jechałoby się nie dłużej niż pół godziny albo i szybciej, jeśli miałby akurat wiatr z południa. Z powrotem ostatecznie można by wracać autobusem. Z większością kierowców był przecież na „ty”.

Dotykając dzwonka, czuł wiatr we włosach i widział te wszystkie dziewczyny, które latem puszczały się pędem z góry nad wsią, przemykały między domami, psy zostawały przy drodze z otwartymi do szczeku pyskami, lecz one były już dalej i lekko hamując, mijały jego chatkę, by przepaść na zawsze gdzieś u podnóża Uherca, zupełnie tak, jakby wjeżdżały do wnętrza góry. Nigdy ich więcej nie widywał, ale przez całe lato pojawiały się nowe. Czasem w towarzystwie chłopaków, zawsze w szortach, kolorowych koszulkach, z rozwianymi włosami, opalone i szczupłe. Niektóre miały małe plecaczki. Stawał wśród pachnącego siana, opierał się na grabiach i zastanawiał, skąd przybywają i dokąd jadą, ale nie przychodziło mu nic do głowy, a przynajmniej nic konkretnego. Wyglądało to tak, jakby gdzieś na Banickiej Górze kończył się jakiś świat, a u stóp, czy też we wnętrzu Uherca, zaczynał następny.

Głaskał czarne siodełko i próbował sobie wyobrazić, dokąd one odjechały, lecz przychodziły mu do głowy same takie w rodzaju „do domu”, „do mamy” albo „skończyły się wakacje”, i nic wyraźnego z tego nie wynikało. Widywał tylko ich szczupłe pośladki, znikające w letnim, rozedrganym i zielonym powietrzu.

Tego dnia widziano go jeszcze w sklepie myśliwskim. Przymierzał z powagą zieloną kamizelkę o kilkunastu kieszeniach i przeglądał się w lustrze. Później sprawdził repertuar wywieszony w gablocie kina Wiarus. Później przyglądał się wozom strażackim na Dworzysku. Później wstąpił do lokalu Fisical na strogonowa i gdy zjadł, zajrzał do sklepu z narzędziami, ale akurat zamykali, więc ruszył w dół Mickiewicza i gdy przeszedł na drugą stronę i znalazł się na moście, spostrzegł, że zatoczył koło. Targowisko nad rzeką było już puste. Bazar też powoli zamierał. Słońce przetaczało się nad Szymbark i w ukośnych promieniach lśniły na straganach złote sprzączki nowiutkich butów i powiązanych w pęczki

torebek. Zatrzymał się przy kiosku i spojrzał na magistracki zegar zawieszony nad dachami. Miał jeszcze pół godziny. Chciał pójść w stronę dworca, ale pomyślał, że równie dobrze złapie autobus na przystanku przy Węgierskiej, a po drodze wdepnie jeszcze do piwiarni Zawodzie, gdzie faceci rozmawiali jak najęci i wspominali mijający dzień.



Mietek

I nawet gdy stoi pod sklepem z facetami, to widać, że stoi sam. Bo chwilę potem oni zostają, a on rusza w stronę domu te cztery puste kilometry, po których hula wiatr, i dopiero na samym końcu, za samotnym przystankiem pekaesu, wchodzi w wąską dolinę, gdzie wszystko raptem cichnie i nawet w słoneczne dni zalega dziwny cień, który jest właściwie brakiem światła, wilgocią ziemi, mulistym oparem, i nie osusza go nawet upał bezlitośnie długich czerwcowych dni. Brązowy dom ciągnie wodę jak roślina. Kruszeją ceglane fundamenty i rdzewieje blaszany dach.

– Wyjadę do brata do Katowic – mówi Mietek.

– No i co?

– Nic. Będę mieszkał w bloku – tak odpowiada owładnięty nagłą nudą, gdy od tygodnia nie przydarzyło się nic albo gdy powtarzalność rzeczy i zdarzeń uzyskiwała ciągłą strukturę nieruchomości. Powtarza to od dziesięciu lat. – Sprzedam budę i wyjadę na Śląsk. Brat to zawsze brat. –

Ale wszystko pozostaje tak jak jest i Śląsk za horyzontem rozpościera się jak kraina Kanaan albo Czeskie Budziejowice Szwejka, bo Mietek, ilekroć rusza w jakąkolwiek drogę, dociera trzy przystanki dalej i zasiada U Basi, żeby złapać oddech, a potem robi się wieczór i najwyżej można tylko wracać. U Basi są schodki i tam się pali, bo w środku europa, kompletny zakaz, ale od dziewiątej rano leci czarno-biały telewizor i próbuje rozproszyć nieskończoną nostalgię pierwszych piw Piast z opadającą w parę chwil pianą. I przez ten zakaz wewnątrz pachnie dziwnie i nie po ludzku, chociaż przy stolikach zasiadają zmęczeni mężczyźni w kurtkach z czarnej imitacji skóry i w spodniach w niezniszczalny kant. Tak jest U Basi, gdzie byłem kiedyś o ósmej wieczór po papierosy i nie zastałem żywej duszy, a na środku sali między krzesłami leżał rower i obracało się jeszcze tylne koło. Albo ten wieczór, gdy na placyku przed knajpką pojawił się mężczyzna z krową na łańcuchu, a dwóch innych spokojnie paliło na schodkach i ten, który przyszedł, przywiązał krowę do metalowej poręczy,

wszedł trzy stopnie i najspokojniej w świecie, bez słowa, znokautował jednego z palaczy. Przestraszone zwierzę wierzgnęło. Mężczyzna odwiązał je i zniknął w ciemności. A my oglądaliśmy to przez lekko zaparowaną szybę auta i nigdy nie mieliśmy się dowiedzieć, o co cała sprawa szła.

– Pewnie coś do niego miał – powiedział wtedy Mietek, który właśnie po raz setny zlekceważył Śląsk i postanowił wrócić te trzy przystanki, by przy małym radiu spędzić resztę nocy, a flaszka w jego kieszeni lśniła jak najzimniejszy lód.

– Nie proponuję nawet, bo prowadzisz – powiedział z odpowiedzialną troską, a ja rozmyślałem o tym dniu, gdy Rudy Sierżant kazał mu dmuchnąć w ten nowoczesny elektroniczny balonik i wyszło coś około trzech i pół. Motocykl był bez tablic, Mietek bez niczego, bo po co komu dokumenty gdzieś, gdzie się od urodzenia wszystkich zna.

– Ale kask miałem, pamiętam – tak opowiadał później. – Motor mi zamknął w stodole u Gburów. Zaczekałem, aż odjedzie, wziąłem maszynę i też pojechałem w swoją stronę. Tyle kilometrów pod górę po pijanemu przecież bym do rana szedł.

Miał rację. Autko wspinało się i wspinało, traciło oddech, cztery kilometry podjazdu i dopiero gdy kończyła się wieś, było trochę w dół, lecz zaraz zaczynało się jeszcze ostrzej pod górkę z samotnym przystankiem, gdzie rozciągała się już tylko ciemność i masy powietrza przeganiane z jednego końca nieba w drugi w wietrznym kotle między Dziamerą i Maguryczem. Tam wysiadł Mietek i przepadł natychmiast w mroku, lecz nie musiałem się o niego martwić, bo znał te wszystkie ciemności jak własną kieszeń, tak samo jak las, który poznał od przeróżnych stron, będąc drwalem, strażnikiem leśnym, kłusownikiem i znowu drwalem, znowu strażnikiem i tak w kółko, aż wszystkie te zawody się wymieszały i w końcu mógł poruszać się między drzewami nawet we śnie, zajmując się tym czy tamtym w zależności od humoru albo potrzeby. Teraz, gdy wysiadł, powiedział:

– Idę spać. Jutro Austriaka prowadzę na byka.

No bo to była jesień, koniec września, pierwsze przymrozki i w stwardniałym powietrzu pod Uhercem i Żydówką dudniły głosy tych biednych, ogłupiałych z miłości bydła. Przywoływały samice, a zjawiali się faceci ze sztucerami. Wsiadali ze swoich landcruiserów, pajero i patroli, wyjmowali z futerałów swoje browningi, berety, lambery i remingtony i szli za Mietkiem w gumofilcach. Prowadził ich w masyw Żydówki albo Mareszki i gdy miał dobry humor, skracał sobie drogę wądołami i parowami – bez słowa i bez przystanku. Zerkał tylko od czasu do czasu w tył, by zobaczyć, jak goretexowe kapoty, portki i buty ciemnieją od wody i żółkną od gliny. Gdy próbowali stanąć i odpocząć, mówił „sznele”, a gdy robili zbyt wiele hałasu, drapiąc się stromiznami żlebów, mówił „sztile”, a oni potem nie byli pewni, czy przypadkiem jednak nie rozumie ich rozmów, w których od czasu do czasu wybuchali śmiechem. Lecz ten śmiech był trochę nerwowy. Zwłaszcza u tych, którzy przyjechali pierwszy raz i po drodze mijali zamierający świat Mołodecznego, Żłobisk, Koprywicznej, Wyżnej Woli i Skwirtu, gdzie domy kruszały jak stare kamienice, ponieważ rozsadzał je ten sam czas, który formował pejzaż, przesunął granice lasu w dół, w stronę łąk i pól, a zwierzęta mieszały się na drogach i obejściach w spokojnej symbiozie z ludźmi, z dziećmi, z codziennymi przedmiotami zupełnie tak, jakby to była jakaś wczesna i niespieszna faza stworzenia, gdy analiza dopiero wynurzała się z syntezy i bieg świata pozostawał sprawą jak najbardziej otwartą.

No więc ten ich śmiech był trochę nerwowy. Zwłaszcza gdy przyjeżdżali tu po raz pierwszy i rano albo poprzedniego dnia opuścili – dajmy na to – swój Wiedeń, Kärtnerstrasse, Graben, swój Neuer Markt i resztę rzeczy jak najbardziej rzeczywistych, skończonych, o których istnieniu nie można było zwątpić, ponieważ zostały ukształtowane raz na zawsze i czas nie miał do nich dostępu, a jeśli nawet, to tylko ta jego odmiana, która napędza zegary oraz wnętrza mechanizmów.

A tutaj szli z Mietkiem i wciągali w nozdrza jego zapach, woń jego starej drelichowej kurtki, w której swój ślad zostawiały te wszystkie rzeczy,

o których nie mieli pojęcia, a których istnienie musieli podejrzewać, ponieważ były niezwykle obce i wyraźne. Szedł ciężko i stanowczo i właściwie nie wybierał drogi. Tak to wyglądało. Próbowali nadążyć ostrożnym, przyczajonym krokiem, ale wciąż musieli omijać przeszkody, gdy on tymczasem zachowywał się tak, jakby kroczył przez zaorane pole albo spieszył gdzieś garbatą, kamienistą ścieżką. Przed siebie, zasapany, z popularnym w zwiniętej garści i gdy nie było pod górę, z drugą ręką w kieszeni spodni. Czasami przystawał, łamał jakąś gałązkę i podtykał któremuś pod nos. Wąchali i kiwali głowami. Cuchnęła capim smrodem stężonego piżma. Gdzieś z prawej, z wysoka, rozlegało się rozwibrowane dudnienie i wtedy oni przystawali, nasłuchiwali i wskazywali w tamtą stronę.

– To na Cyrli – mówił. – Po kurwie daleko. Echo niesie – i ruszał przed siebie znów tym krokiem jak do autobusu.

Ale w końcu dochodzili tam, gdzie mieli dojść. Listki ostrężyn sztywniały, pokrywały się mroźnym nalotem. Świerki ustępowały i światło księżycza mieszało się z resztkami dziennego blasku, a przed nimi otwierała się bagienna równ zamknięta ze wszystkich stron lasem. Mietek mówił „halt” i pokazywał na migi, gdzie mają stanąć. Jeleni odór był wyraźny i przypominał oliwę. Unosił się na powierzchni innych woni, górował nad gnilnymi wyziewami bagniska, nad zbutwiałością i siarkowym zapachem płytkich bajorek. Z głębi lasu odzywały się bycze stęknienia. To tu, to tam, z lewej, z prawej i bliżej niż poprzednio. Samce nawoływały się leniwymi, rozwlekłymi porykiwaniami i Mietek wiedział, że prędzej czy później któryś wyjdzie spośród drzew na otwartą przestrzeń, półślepy, półgłuchy, z rozdętymi nozdrzami w poszukiwaniu rywala. A oni gładzili lufy swoich remingtonów i browningów, na których osiadał szron. Księżyc wznosił się coraz wyżej. Dienne światło całkiem przepadło, jakby wsiąkło w ziemię. Srebrny blask wykrawał z mroku różne odmiany czerni. Drzewa rzucały cienie, a mróz na pędach ostrężyn błyszczał jak rtęć. Korony buków, świerków i jodeł składały się w okrężną poszarpaną grań, w coś, co kształtem przypominało najczystszy przypadek i chaos, lecz jedno i drugie

trwałe i twarde jak forma, w którą z góry, z nieba wlewało się powoli zimne powietrze, by zastygnąć jak lód albo przezroczysty metal, i niewykluczone, że czuli się trochę jak starodawne bursztynowe owady, uwięzione w tej dziwnej przestrzeni, gdzie czas przybierał postać rzeczy materialnych, pierwiastków i związków chemicznych.

O tej samej porze to samo niebo w Wiedniu osiadało nad Heldenplatz i resztki zachodniej jasności wyświetlały perwersyjne kształty zwieńczeń Hofburga, obu muzeów, parlamentu, ratusza i reszty, ponieważ wrześnieowa pełnia nie robiła żadnej różnicy między jednym i drugim nieumiarkowaniem formy.

Wszyscy trzech znieruchomieli tak bardzo, że powoli przestawali wierzyć w swoje istnienie. Mietek skulił się, jakby spał. Tamci dwaj, oddaleni i niewidoczni dla siebie nawzajem, próbowali coś usłyszeć, lecz w powietrzu brzmiały tylko normalne, monotonne odgłosy lasu z rozwlekłym porykiwaniem w tle, jakby we mgle nawoływały się syreny statków. I wtedy poczuli się opuszczeni, samotni i z dala od wszystkiego. Wciągali głęboko powietrze, żeby pomiędzy ciężkimi woniami bagniska i piżma odnaleźć zapach Mietkowej cajgowej kurtki.

– Do dupy strzelili – mówił Mietek dzień później wieczorem U Basi. Mówił to niedbale i łaskawie do chłopów w katanach z imitacji skóry. Sam stał z jedną ręką w kieszeni i jak zwykle wyglądał tak, jakby sam tu przyszedł i sam miał zamiar wyjść. Czarno-biały telewizor pokazywał premiera albo prezydenta, ale i tak najważniejszy był on.

– Do dupy. Jeszcze nie zdążył dobrze wyjść z krzaków, a tamten dup. A wyszedłby i stanął, nie ma to tamto, wyszedłby i stał. Na trzydzieści metrów by go miał, to nie, od razu dup i dup. A tu trzeba myśleć. Polowanie to nie jest sport.

Reszta siedziała przy stolikach w tych samych ciężkich i nieruchomych pozach, w jakich zasiadali w domach po pracowitym dniu, czekając na jedzenie albo na chwilę, gdy senność wypełni ciała i sięgnie powiek.

– Z nimi tak zawsze – powiedział któryś, a inni pokiwali tylko głowami, bo to jest bezpieczny gest, który nie kosztuje nic.

– Dziadek mi opowiadał, jak jeszcze żył – ciągnął tamten.

– Co ci opowiadał? – spytał ktoś.

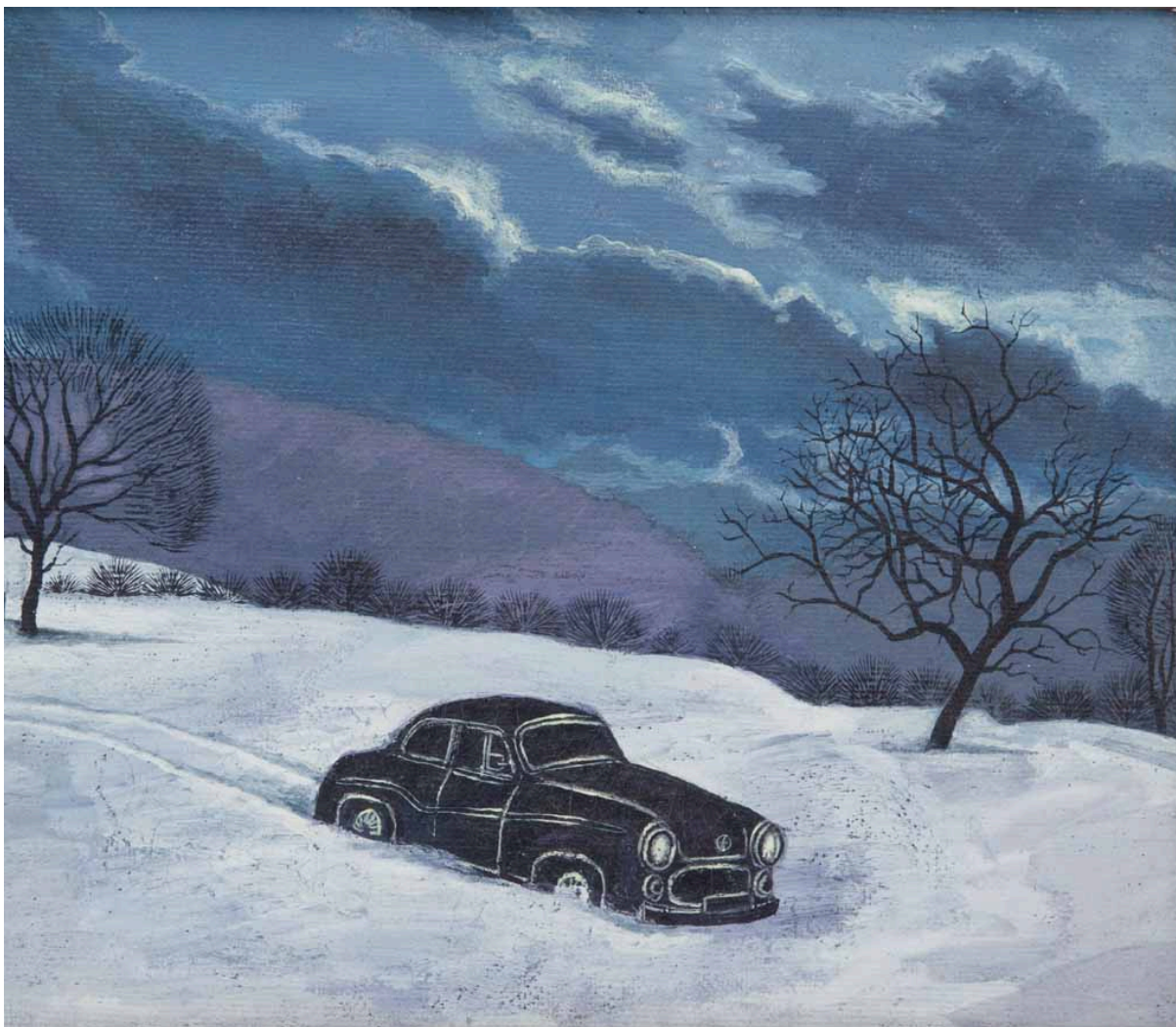
– Jak we wojsku jeszcze za cesarza był.

– No i co?

– Nic. Bajonett auf! Bajonett ab! Stellung! Kappe ab! Zum Gebet! Tyle pamiętał. Stary był.

W telewizorze zmieniały się obrazy, lecz oni nawet nie spojrzeli. Niewykluczone, że ich pamięć próbowała sięgnąć dalej, niż sięgało ich życie. Patrzyli przez siny dym, przez powietrze, przez ścianę i ciemność, i w końcu ich wzrok musiał się oprzeć o niewidzialne cielsko

Magury, bo stała tam jak zwykle czarna, nieruchoma i obojętna dla tysięcy obrazów, które od nie wiadomo kiedy przesunęły się na jej tle.



Mietek zrobił półobrót i wrócił do kontuaru, jakby czegoś zapomniał. Barmanka podała mu i wydała resztę.

– A twój cesarza pamiętał? – zapytał ktoś.

Mietek schował zakupy do kieszeni, dziewczyna oparła się łokciami o kontuar i zapatrzyła w ekran.

– Nie. Mój tylko Hitlera – odpowiedział i wyszedł bez pożegnania na dwór, gdzie wiatr znaczył ukośne ślady w ciemności. Postawił kołnierz, z prawej nic nie jechało, żadnych świateł, więc złapał w plecy te podmuchy i ruszył na południe.

Grzesiek

...Albo te wszystkie niepotrzebne już rzeczy, które leżą za chałupami w pokrzywach, te garnki emaliowane po wierzchu na niebiesko, w środku białe, a pomiędzy warstwami kolorów już tylko rdza zmieszana z cząsteczkami tysiąca obiadów z czasu, gdy wzdłuż dróg stały sztachetowe płoty z nadzianymi sagankami jak wystawy dumnego dobrobytu, co tam kto ma najlepszego, lecz zawsze był to ciemny błękit i w słońcu wyglądały tak smutno, jak okopcone kawałki nieba. Albo te tandetne wielkie budziki, których nikt nie chciał naprawiać, i wewnątrz ich mosiężnych mechanizmów leżały się białe pędy perzu, pnące się ku światłu przez strzaskane szkiełko i cyferblat z jakąś zamarłą godziną piętnaście po trzeciej nie wiadomo czy w nocy, czy w dzień, w niewiadomym miesiącu. Albo resztki łańcuchów po umarłych ze starości psach, zetlałe ogniwa, lekkie i mineralne jak biczyk z piasku, nie do odróżnienia od rudawych grudek ziemi, skąd kiedyś je wydobyto razem z całą resztą świata, który teraz wolno i niezauważalnie kończy swój doskonały i pełny obrót. I okruchy innych spracowanych maszyn też tam są: zastygłe koła kieratów z niemieckimi napisami jak z nagrobków, tryby i zębate przekładnie bez krzty smaru, pęknięte wędzidła bez śladu końskiej śliny, wyjedzone wilgocią aż po grzbiet kosy bez kropelki dźwięku, obręcze bez swoich beczek i piasty od przedwojennych wozów, w których obraca się nicość.

To wszystko osuwa się ze wzgórków, osuwa do potoków, woda nadgryza to wolno swoim delikatnym zębem i zgarnia w nurt Ryjaka, Wilszni i Wisłoki, by ponieść na północ w krainę zimnej śmierci i najgłębsze zapomnienie, gdzie ciemność i sól dokonają reszty.

I ursusy c340 też tam idą, i spalone upałem kombajny Vistula, i białe czerepy syrenek bosto i sedan, i puste odwłoki czarnych wołów, i objedzone do szkieletu wuefemki, i padłe z wysiłku eschaelki, i porzucone bez litości w lesie wszystkie mazurki Józka Ciumci ze spękanymi gąsienicami, z blokami porozsadzanymi mrozem. Wszystkie przyczepy z pegeerów,

które zrobiły swoje i teraz mogą odejść, nysy, które wozily konkwistadorów minionego czasu, żuki, które resztką sił wróciły z ludowo-chłopskiego Eldorado, potulne rowery Ural i rowery Ukraina o siodłach jak kulbaki zaporozców, ciągniki DET jak wysokoprężne wersje oswojonych słoni i stalińce jak dieslowskie dinozaury, wszystko, co służyło do ostatniego oddechu, obrotu, teraz powraca do dzikiego królestwa minerałów, ponieważ świat nie kończy się hukiem, ale rdzewieniem.

A z kosmosu prósz metaliczny blask księżyca, jakby i on sam był prostą i elegancką maszyną, i błogosławił swoich ziemskich braci, a przy okazji resztę znieruchomiałych raz na zawsze rzeczy, zarytych w aluwialnych warstwach czasu. I nie wiadomo, czy rzeczy, które żyły i umarły, będą zbawione, czy ktoś je wskrzesi i poskłada, czy jakiś eschatologiczny mechanik podłubie w nich niebieskim śrubokrętem i tchnie w nie nowy oraz wieczny zapas koni mechanicznych albo kilowatów, czy też ich nieskończoność będzie miała pogańską formę powrotu do prażródeł, czyli do rozkładu na elementarne cząstki.

Tak albo nieco podobnie rozmyślał Grzesiek, taszcząc do pomarańczowej syrenki zwój miedzianego drutu. Pracował już trzecią noc. Wczoraj i przedwczoraj przystawiał do słupów lekką składaną drabinę i odcinał drut od izolatorów. Teraz trzeba było wszystko zwinąć, zapakować i zwiać, zanim nadejdzie niecierpliwy czerwcowy brzask. Górna Radocyna wyglądała jak głęboki talerz pełen mgieł. Polska i słowacka noc fastrygowały się bez śladu nad granicą, a Grzesiek chwalił w duchu techniczny postęp, który pozwolił Straży Granicznej z telefonów na korbkę przesiąść się wprost na motorole.

– Ach, gdyby tak dało się zwinąć wszystko aż do Koniecznej, byłoby tego parę ton... – i jego wszechstronny umysł zaczął wykonywać arytmetyczne operacje, z których czarno na białym wynikało, że różnica między metalem kolorowym i szlachetnym jest w gruncie rzeczy tylko ilościowa. Syrenka aż przysiadła, gdy wrzucił kolejny kłęb do bagażnika. Poklepał ją po dachu i w jego sercu smutek pomieszał się z czułością. – Jeśli wszystko dobrze pójdzie, staruszko, niedługo przyjdzie nam się

rozstać. Już dzisiaj powiesz tyle, ile sama jesteś warta. – Zamknął delikatnie klapę. Księżyc zaczął staczać się w stronę Ondavki. Widać akurat tam miał zamiar przeczekać nadchodzący dzień.

Syrenka pyrkotała i ostrożnie rozgarniała mgły. Jechali bez świateł. Od Wyszowatki przez krawędź Dębiego Wierchu przelewał się świt. Wzdłuż drogi stały czarne cienie i wydawało się, że to ziemia wypiętrza się i formuje w kształty drzew, krzewów i resztek tego, co pozostało po wsi. Cmentarne nagrobki, niemiecka droga, ruiny starej szkoły, kapliczka z rosnącą w środku brzošką miały wygląd rzeczy, które czas zostawił w spokoju, i teraz tylko geologia miała z nimi się uporać. Powietrze cierpliwie ocierało się o powierzchnię kamieni i próbowało dostać się do środka.

No tak – pomyślał Grzesiek i słuchał, jak silnik zbiera się w sobie przed kolejnym podjazdem, a tłumik tłucze o kamienie. – No tak, przecież kiedyś maszyn było tutaj jak na lekarstwo. Czego innego zresztą też. Wszystko wykonane na całe życie albo i więcej, bo z ojca na syna, a gdy w końcu coś się zużywało, to natychmiast przepadało bez śladu. Tak było nietrwałe, kruche i ubogie. Słabo wypalona glina, ledwo obrobiony kamień, drewno i skóra, z którymi ogień radził sobie łatwiej niż, dajmy na to, z ludzką kością. A jak mieli coś metalowego, to gładzili i ostrzyli tak długo, że po prostu przestawało istnieć. Dlatego tutaj nie ma prawie nic. Rzeczy żyją tak długo, jak długo ktoś się nimi opiekuje. Biedni niegdyśiejsi złodzieje, biedniejsi od własnych łupów.

– Jezu, tysiąc osiemset siedemdziesiąt osiem – powiedział do siebie, gdy mijał kolejną kapliczkę z piaskowca. Zapamiętał wyrytą na cokole datę, gdy wpadał do doliny na pierwsze rozpoznania. – ...siedemdziesiąt osiem, tylko trochę ponad setka, a jak pogrzebać w ziemi, to tylko parę zardzewiałych gwoździ, skorupy, trzy dupersznyty na krzyż, gliniany kogutek, guzik bez pętelki, szkiełko i żadnej pamięci, żadnych znaków, jakby życie było tylko chwilowym rozszczepieniem światła, czyli widmem, i po wszystkim zostaje gwizdawka, obrys fundamentów i - pokrzywy.

Tak rozmyślał Grzesiek, albo jakoś podobnie, a nad Wyszowatką noc stawała w coraz większym rozkroku i wpuszczała w dolinę niebieskawe światło. Pomarańczowa syrenka toczyła się jak ciężki, błędny ognik. – Jeszcze parę kursów i nie zostanie tutaj nic, co byłoby cokolwiek warte. Trawa i drzewa, i zdziczałe jabłka na jesieni. Za późno się człowiek urodził. Trzeba było tu być w czternastym i piętnastym, jak Ruskie szli tędy na Wiedeń i zaraz potem wracali. Taki schwarzłose strzelał teoretycznie pięćset razy na minutę i każdy taki strzał to była łuska z czystego mosiądzu, i nikt tego nie zbierał, a Ruskie i Niemcy mieli jeszcze maximy, które potrafiły w minutę wywalić sześćset sztuk amunicji, i to też był mosiądz jak złoto, czysty zysk, i wszystko zostawało. Wystarczyło wziąć koszyk i szło się jak na grzyby. Bo jak jest wojna, to wszystko jest jednorazowe. Pierdut i następne, nowe, a stare zostaje i pies z kulawą nogą nawet nie spojrzy, bo wtedy przecież są ważniejsze sprawy niż zbiórka surowców wtórnych. A jak pomyśleć jeszcze o artylerii, o tych pociskach grubych jak kanalizacyjne rury, o kawalerii i stosach mięsa, o rozpirzonych taborach ze wszystkim, co człowiekowi potrzebne: gacie, garnki, grochówka w puszkach, rozdupczone kuchnie polowe i komiśniak jak kamienie w trawie, manierki, menażki, marchew z groszkiem, pikelhauby i morituri te salutant, a teraz nic, przepadło i nie wiadomo, gdzie się podziało, jak zdmuchnięte. Wszystko jednorazowe jak ślubna sukienka albo becik do chrztu i nikt się nawet nie obejrzał ani nie zapłakał, chociaż co drugi był z wielodzietnej rodziny, w domu raz dziennie coś ciepłego, a portki miały łąty szyte z pokolenia na pokolenie. Tak jakby rzeczy żyły tylko dla siebie i z łaski pozwalały się używać, zajęte swoim krótkim bytowaniem na tym świecie. Ludzie pętali się między nimi i tylko przeszkadzali. Tak to musiało wyglądać: spokojny heroizm haubic, hełmów, mosinów, mauserów i mannlicherów, a wokół historia, chaos w stylu Matko Boska i po co nam to było, i tylko oficerowie musieli udawać, że wszystko idzie zgodnie z planem. Tak. Ludzie nigdy nie dorastają do swoich wytworów i przypominają facetów, których zaskoczyło ojcostwo, albo te rodzinki, co biorą pieska, a potem sto kilometrów od domu otwierają drzwi auta – pobiegaj sobie, Kajtuś – wrrr, i już ich nie ma.

Takie myśli przychodziły Grześkowi do głowy. Teraz znów było pod górę i patrzył, jak wskaźnik temperatury zbliża się do czerwonej kreski. – Jeszcze trochę – powiedział cicho. – Jeszcze chwilę, wrzucę ci luz i nawet zapłon wyłączę. Będzie z górki i trochę ostygniesz.

Niebo na wschodzie zaczynało się srebrzyć i gwiazdy znikwały jedna za drugą jak kamyki w wodzie. Przekręcił kluczyk i poturlali się w ciemnozielonym cieniu leszczyn bezszelestnie niczym ognista zjawą na bezdrożach nocy. Głaskał dźwignię biegów i poklepywał kierownicę. – Ale na złom nie pójdziesz. Kogoś ci znajdę. Może emeryta. Będzie o ciebie dbał i razem się zestarzejecie.

Koło retort do wypału węgla drzewnego stracili impet i Grzesiek włączył zapłon, ale myślami znów był trochę gdzie indziej. Przez jego głowę sunęło coś jak magnetofonowa taśma z nagrany tekst: Bo teraz wszystko jest jak cicha wojna, jak niewidzialny front. Niby nic się nie dzieje, spokój, a tyle tego pozostaje, jakby wszyscy spieszyli się na złamanie karku. Żadna rzecz się nie starzeje, tylko raz dwa trzy umiera. Najpierw jest nowa, a potem w jednej chwili do niczego się już nie nadaje i pustka wieje wskroś przedmiotów. Puste zapalniczki, puste długopisy, puste flaszki i pudełka, i żarówki, baterijki i skrzyneczki akai i funai pozbawione swych elektronicznych wnętrzności, telewizory, w których zamarł ruch, i białe pralki, w których nic już nigdy nie zawiruje, i radia z ciszą jak makiem zasiał w środku, opustoszałe szafy i szuflady bez zapachu, sony i sanyo zmarłe na elektroniczny zawał swych krzemowych serc, przedziurawione baloniki, opuszczone lalki, zdradzone misie, plastikowe kubki, które żyły tyle, ile jedno piwo, torebki po cukierkach, gazety jak jętki jednodniówki, a bliżej miasta nawet wycieńczone szare ciała komputerów. Zupełnie tak, jakby jakaś armia przegrała i cofała się w panice, jakby każdy chciał z tej rozpie rduchy ocalić tylko własną głowę, a wszystko razem wygląda na pańświatowy ruch absolutnego wyrzeczenia.

Przed Czarną Górą wrzucił jedynkę i powiedział głośno:

– Ale z drugiej strony cała ta ludzkość przypomina nieboszczyka w trumnie, ubranego w tekturowe buty i garnitur też elegancki, tyle że

jednorazowy.



A na świecie robiło się coraz jaśniej. Nic wprawdzie jeszcze nie rzucało cienia, ale kolory z wolna powracały na swoje miejsca. W każdym razie na tyle, by Grzesiek dostrzegł, że lizak, którym ktoś macha koło ruin leśniczówki, jest jak najbardziej biało-czerwony.

Paris–London–New York

A gdy Heniek zjeżdża z góry, to jego przyczepka wygląda jak atak starodawnej kawalerii: barwy, proporce i furkot wśród płonących drzew jesieni, wśród czerwieni i złota naprzeciw suchego wschodniego wiatru, jak szarża lekkiej brygady, jak kłus pancерnej chorągwi z chrzęstem, pobrzękiwaniem i skrzypem obluzowanych blach i szumem powiewających sztandarów, ale przed mostem musi przyhamować i do wsi wtacza się już całkiem dostojnie, powiewnie i cicho. Staje w ognistej plamie września, wysiada i czeka obok swojego kramu, a silnik paruje rozgrzanym olejem jak zgoniony mechaniczny koń. Lecz wokół jest pusto. Zjawiają się tylko dwa psy. Obwąchują koła, obsikują i obwąchują znowu, żeby sprawdzić, czy nie zrobiły jakiegoś błędu, jak wszystkie psy na całym świecie wszędzie tam, gdzie toczą się gumowe koła aut. Potem wolno idą do swoich spraw i Heniek zostaje sam wśród wiatru. Nie dzieje się nic. Tylko nie wiadomo skąd pachnie olchowym dymem. Światło przedpołudnia przenika przez tiule i szyfony, przez nylony i koronki, tonie w fałdach bawełny i na koniec przepada w sukiennych draperiach jak w ciemnej wodzie.

Prócz tego, co na wieszakach, w otwartej skrzyni przyczepy leży pokot różności, warstwy bluzek i koszul, sploty podomek i szlafroków, małe płaszczyki i sukieneczyny z plisami na wieki, żmijowiska rajstop i egzotycznych leginsów, cielesne i ciepłe zawijasy dresów, tu i ówdzie spokojny i płaski błękit dżinsów, a zaraz obok falbaniaste eksplozje żabotów od święta, imienin i ślubnego świadkowania, pęczki pasków jak trofea jakiegoś dzikiego łowcy, a w dole, w odmętach, zatopione klejnoty guzików, ultramaryna, szmaragd, rubin, ametysty, perły, turkusy i topazy, a każdy z dwiema lub czterema dziurkami. Pyszne perskie wnętrzości przyczepy parowały w słońcu. W prostokątnym stalowym pudle aż się gotowało. A nad tym wszystkim na najwyższym wieszaku majestatycznie kołysał się czarny skórzany płaszcz. Pełzały po nim zielonkawe jaszczurcze

blaski. Musiał być ciężki, bo wiatr ledwo nim poruszał. Przypominał groźną chorągiew z głębi najstarszego czasu, gdy po ziemi chodziły wielkie zwierzęta o tęczowych grzbietach. Rustykalny pejzaż był wobec niego bezbronny tak samo jak barwy jesieni. Był dziki i żałobny. Wyglądało, jakby przyszedł po swoje. Cywilizacja uszyła sobie strój z dzikiej bestii.

– Osiem stówek – powiedział pan Heniek, gdy macałem rękaw. – Nic się nie da spuścić. Za samą wagę trzeba dać osiem. Reszty nie liczę. – Tak, był ciężki. Był tak ciężki, jakby skóra wciąż zawierała ciało. Staliśmy i rozmawiali. Nie przyszedł nikt. Tylko wiatr niósł dym z kominów. Gdzieś ryczała krowa. Zapytałem pana Heńka, czy w ogóle coś sprzedaje.

– Jak gdzie i jak kiedy – odpowiedział wymijająco. Jego auto miało dwadzieścia lat. – Ale silnik tylko dziesięć – dodał tonem dumnego usprawiedliwienia.

– No ale dziennie ile wychodzi? – napierałem.

– Coś trzeba robić – odpowiedział.

Nie miałem ośmiu stówek. Porozmawialiśmy jeszcze chwilę. Zamknął skrzydła swojego ołtarza i suknie, garsonki i marynarki zmieszały się z płataniną pośledniej garderoby na dnie przyczepy. Pożegnaliśmy się. Zapalił, zawrócił i zaczął się wspinać. Dach, srebrny odwłok wózka błyszczały w południowych promieniach i w końcu metaliczna aureola skryła go zupełnie.

Mogłem spokojnie odtworzyć sobie jego szlak. Zapuszczał się w boczne drogi. Odchodziły od głównej szosy jak rybie ości od szkieletu. Kończyły się i trzeba było zawracać. W większych wsiach stawał pod sklepem. Wtedy przychodziły kobiety. Otaczały jego skrzynię cudów, a on rozpościerał przed nimi zdobycze z dalekich, obcych lądów: paryskie, berlińskie, rzymskie, jakby powrócił z dawnej wojny, a nie po prostu przywiózł to wszystko z hurtowni. I tak zjawiał się świat i krążyły atomy odległych obecności nieznanych, niewyobrażalnych ciał. Paris–London–New York. Kształty gospodyń domowych z Kurfürstendamm Strasse, przestrzenie jeszcze niedawno wypełnione sprężystym ruchem czekoladowych

dziewcząt z Nicei, wełna i tweed przesiąknięte na zawsze zapachem wilgotnego powietrza znad Tamizy; w kieszeniach zapomniane okruszki nie wiadomo czego – ktoś włożył i nie wyjął w Belgii albo Holandii, i przybyły tu, gdzie niebo zaraz oprze się o karpacką krawędź i skończy. No więc kobiety dotykają tych światów, przykładają do swych ciał, a sąsiadki jak lustra kiwają głowami z uznaniem albo mówią: weź lepiej tamtą, tamtą czerwoną. I jedna przez drugą sięgają w głąb i trochę na oślep, żeby wydobyć coś, czego oczy jeszcze nie widziały, jakiś znak z daleka, dowód na to, że nad, powiedzmy, Wiedniem i wsią Bodaki rozciąga się ten sam nieboskłon, a kształty chmur zmieniają się wprawdzie po drodze, lecz ich esencja pozostaje taka sama i nad rzeką Leman, i nad potokiem Sękówka, ponieważ rzeczywistość jest jednością i w cienkiej batystowej bluzce skrył się cichutki, ledwo uchwytny ślad kenzo jungle, elephanta albo masumi. Na przystanku staje pekaes, zjawiają się następne kobiety i teraz robi się ruchliwiej, żywiej, żeby zdążyć, jak to w społeczeństwie, gdy coś wzgardzonego w cudzych rękach natychmiast nabiera wartości.

– Weź swojemu tamtą.

– Tamtą?

– No tamtą.

– Nie będzie chodził w zielonym.

– Ale ładna.

– Ładna, ale nie założy.

Płaszcz wisi, ale nikt na niego nie patrzy. Czeką na swój czas, który w końcu musi nadejść, tak jak kiedyś nadeszły parowe lokomobile, mleko w proszku i ogólnodostępne święte obrazy. Czas zawsze nadchodzi. Jego mały dopływ już sączy się w dolinę jak memento dalekiej powodzi, która uniosła miasta i państwa poza widzialny stąd horyzont. Paris–London–New York, guziczki ze złocistej masy i pociemniałe cekiny na kołnierzykach, na piersiach kowbojskie hafty, na brzegach mankietów przetarte nitki. Czas, jego gorsza wersja zesłana tu za karę, czas sekend hend, w którym czterdziestoletni mężczyźni wstają rano i bez golenia wychodzą na drogę, by patrzeć, jak nadciąga dzień, przechodzi i nie

zostawia żadnych śladów prócz wypalonej paczki papierosów. Mają zniszczone plastikowe buty, są wolni i umierają na serce, nim skończy się program. Potem ich dusze podróżują rannymi pekaesami między piątą a szóstą. Nikt ich nie zauważa. Żywi patrzą przez szyby i wyglądają zmian, jakby nie rozumieli, że one krążą już w nich jak krew i od tej pory będzie tylko tak.

- Szarą bym wzięła, panie Heniu.
- Nie ma. Szare zaraz schodzą.
- Z brązów też nic?
- Nic. To, co widać. Pojutrze jadę po towar, to może będzie.
- A ta zielona?
- Stówkę.
- Starą?
- Przecież, że nie nową.
- No nie wiem. Kupię i nie założę.

W końcu robi się pusto i chłód ciągnie od długich cieni. Pan Heniek podzwania w kieszeni dwuzłotówkami. Znów pachnie olchowym dymem i poszczekują psy. Świat wykonuje swe obroty w mroźnej wieczności, niosąc na grzbiecie Europę, a ona z kolei dźwiga powiaty i gminy południowego wschodu, które bez wysiłku unoszą swoje lumpeksy, ciucholandy i szmateksy, i odzież zagraniczną, i co dzień świeży towar, i konfekcję zagraniczną na wagę, otwarte od ósmej, po szesnastej proszę dzwonić, wszystko prane w proszkach najwyższej jakości, a wewnątrz cienie ciał jak zjawy z czterech stron świata, jak porzucone istnienie, w które wejdą inni, bo człowiek jest dla człowieka bratem i wywodzi swój kształt z jednego, pierwotnego kształtu, stąd ten nieskończony pochod form, w które można się wcielić za starą stówkę, stąd wolny wybór dla esencji, która jednym gestem odmienia swoją egzystencję, wchodząc w symbiozę z bytem pozornie dla niej niekoherentnym. Paris–London–New York. Koszula jest najbliższa ciału i komunია świata z metafory płynnie przeistacza się w konkret, który jest galicyjską wersją Sądu

Ostatecznego, gdzie zrównanie nastąpi nie przez nagość, ale paradoksalną wspólnotę stroju jako w Berlinie, tako i w Gorlicach, i dalej na południe, gdzie wśród zapachu olchowego dymu szczekają psy z zimnymi łańcuchami wokół szyi i autobusy za dwa pięćdziesiąt zawijają piruety na pustych placach, z których dalej prowadzi tylko jedna droga z samotnym motocyklistą, pnącym się wolno w błękitnej mgiełce spalin w stronę wykreślonego przy linii horyzontu.



Zima

I znowu jest noc. Żłotawy księżyc ledwo przeziiera zza chmur. W nieruchomym powietrzu śnieg pada całkiem pionowo. Wygląda jak wielka firanka, za którą gdzieś daleko pali się żółta lampa. Wszystko razem przypomina nieskończenie wielki pokój, gdy nocą wędrowiec zagląda do okna obcego domu.

Sąsiad wyciągnął swoim gazikiem zbłąkane auto z zasp, wrócił, zgasił światło i śpi. Szczekanie psów ginie gdzieś po drodze, tonie w białym puchu i stają bezradne, z rozdziawionymi pyskami, a odpowiedź nie nadchodzi. Tak chciałbym zaczynać wszystkie historie. Od ciał i rzeczy, ponieważ nie starcza mi wiary we wskreszenie jednych i drugich. Jeśli nawet ciała powstaną, to co będą robiły bez całej reszty? Jak odnajdą się w przestrzeni, jeśli oczywiście i przestrzeń zostanie wskrzeszona? Co zrobią bez swoich psów, domów i zmian pogody?

Ten lęk nawiedza mnie, ilekroć znajduję okruszynę wiary w to, że ktoś kiedyś pozbiera mnie do kupy, postawi na nogi, da lekkiego klapsa i powie: no, idź. A ja wtedy zapytam: gdzie, dokąd, którądy, po co i po czym, bo przede mną najprawdopodobniej będzie tylko najlepszego gatunku nieskończoność pół na pół z wiecznością.

Dlatego mam obsesję rzeczy, zdarzeń, nic niewartych szczegółów, wyliczanek, lubię wiedzieć, co jak się nazywa, i dlatego wolę biedne okolice niż bogate, bo w nich przedmioty mają prawdziwą wartość i bardzo możliwe, że ludzie je choć trochę kochają, ponieważ nie mają nic innego. Nie wielbią, ale kochają, nie mając o tym nawet pojęcia. Od wielbienia rzeczy są bogacze. Podziwiają swoje postacie w lustrzanych powierzchniach, i w końcu sami zamieniają się we własne odbicia. Ich rzeczy są tak drogie, że nigdy się nie niszczą, i to jest ich nieśmiertelność.

W noc cichą jak ta słyhać, jak świat się starzeje. Przepalają się żarówki i tranzystory, rdza rozkłada mechanizmy, drewno w piecu spala się szybciej, niż rośnie w lesie, ubrania tleją i butwieją na naszych ciałach i z każdą

chwilą są cieńsze i słabsze, pełne zamienia się w próżne, a potem w potłuczone, papieros w popielniczkę własnoręcznie dokonuje żywota, obrazy i dźwięki parują z magnetycznych taśm i tusz opada w długopisie, a papier kruszeje jak opłatek i nawet fałszywe królestwo tworzyw sztucznych się nie oprze. To jest prawdziwy świat miłości, bo ciemny cień straty wisi nad nim jak jastrząb nad zdobyczą.

W starożytnym mieście Lewocza widziałem słowackich Cyganów, jak siedzieli przed swoimi domami, które były spękane i stare. Zwyczajem ludzi wolnych przesiadywali na schodkach, a obok stały magnetofony Grundig, Panasonic i Sony, wypełnione ich muzyką. Nie sądzę, by mieli wiele więcej. A potem wyobraziłem sobie chwilę, gdy za którymś razem pęka na zawsze serce w lśniącym mechanizmie i zapada cisza, której niczym nie da się zagłuszyć.

Przez pięć dni padał wielki śnieg. Znikły płoty i drogi. Ludzie kopią tunele wokół domów. Na kalenicach piętrzą się białe poduchy. I wieje, wieje z głębi świata, sunie, pędzi, spiętrza i układa w pasma, grzbiety i fale. Palacze po chałupach liczą papierosy i czekają, aż ktoś przejdzie pierwszy i przedepcze. Droga z Banicy w dół, do Pętnej, wygląda jak kiedyś, jak przed wynalezieniem koła, jak w czasach, gdy nikt nie miał nic do załatwienia i nigdzie się nie wybierał. Świat wygląda się coraz bardziej i zmierza ku jakiejś idealnej formie o zaokrąglonych brzegach. Chwilowe ścieżki zaraz znikają i każdy następny idzie, jakby szedł pierwszy. W sercach lęgnie się lęk, bo w końcu historia gatunku to dzieje przewycięzania pojedynczości. Przez okna widać postępy pejzażu, dopóki zasy nie podniosą się po krawędź okapu. Można sobie wyobrazić, jak kiedyś w taką pogodę ludzie liczyli zapalki, obserwowali w naczyniach opadające poziomy płynów, chudnące worki, topniejące zapasy w drewnie. Ścieżka do stajni, ścieżka do studni i koniec. Koniec świata i nieskończoność czasu. Ciała ćwiczyły się w przeczekiwaniu, w zmianach pozycji, w powolnym myśleniu i wspomnianiu, żeby starczyło na jak najdłużej. No i jeszcze sny – jedyna fikcja z krwi i kości. Dwa wiadra, cztery garnki, stół, ława, łóżko, rodzinne papiery za świętym obrazem, kilka

łyżek, ubranie, nóż, pogrzebacz, parę misek. Prześladowają mnie rustykalne i archaiczne wizje, ponieważ od dawna wątpię w zmartwychwstanie ciał, ponieważ nagość i samowystarczalność przeminęły razem z rajskim upadkiem, i teraz nic nie jesteśmy warci bez rzeczy, które nas otaczają, bo oddaliśmy im część naszych nieśmiertelnych dusz i musielibyśmy wszystko zabrać ze sobą, żeby stanąć przed obliczem w jakiej takiej całości. Tak. Dlatego odwracam wzrok ku czasom pogrzebacza, czterech kubków i pary portek na zmianę, bo to jeszcze dało się zawiązać w tobolek i ponieść, gdy nadchodził czas.

Gdzieś daleko rozgrzane maszyny próbują przebić się przez zimny puch i opadają z sił. Gąsienice obracają się w miejscu. Stalowe brzuchy zgarniają pod siebie zbity śnieg i trzeba się cofać, rozpędzać, zaczynać od początku, i w końcu metal gnie się, pęka, „do pizdy z taką robotą” mówi Kaczmarek i wyłazi z kabiny, żeby popatrzeć, co się porobiło z masywnym, wyspawanym z ceownika ramieniem pługa. Diesel dudni równiutko, zamienia ropę w energię, energia idzie w komin i rozplywa się w burym niebie między Magurą a Kornutą. Z chałup wychodzą chłopcy i obstepują spychacz. Kucają jak przy chorym zwierzęciu. Wiatr porywa białe oddechy i papierosowy dym. Pachnie gorący olej, a noc skrapla się nad horyzontem jak para na lodowatej szybie. Grzeją się w cieple maszyny, kopią, postukują i spluwają, bo przecież nie ma na świecie faceta, który by się nie znał na ciężkim sprzęcie. Wysokoprężne eksplozje wstrząsają trzewiami silnika – ssanie, sprężanie, praca, wydech – ale na zewnątrz wydobywa się tylko lekka vibracja i rezonans rozchodzi się w powietrzu tak jak ciepło. W końcu maszyna rusza, a oni idą za nią w rozgrzebanym śniegu i za dziesięć minut w ciemniejącym powietrzu zapalają się martwe błyski elektrycznej spawarki, a wieczór niesie je w dal, jakby właśnie nadchodziła burza. Faceci odwracają twarze i mrużą oczy. Mróz miesza się z diabelską wonią topionego metalu i papierosy nabierają dziwnego obcego smaku.

Podwórko Hrynacza, na którym stanęli, płonęło jak srebrna aureola i tych czterech na tle magnezjowej czeluści zbitej z desek szopy wyglądało całkiem nieludzko. Graciarńia warsztatu raz po raz eksplodowała

archaiczną światłością elektrycznego łuku, płonęła jak świat na samym początku i trudno było rozróżnić mężczyzn, bo pochłaniali światło tak samo jak reszta porzuconych, rdzewiejących rupiec – szprychowe koła do gatrów, stare dyfry, ramy przyczep, wybebeszone, wywrócone na grzbiet karoserie, szkielety cyrkularek, resztki traktora, kręgosłupy wałów korbowych, rozerwane mrozem kadłuby benzyniaków i ropniaków, permanentna korozja pod rękę z postindustrialnym smutkiem – i nawet gdy się poruszali, to w tej przedwiecznej jasności ich ruchy były nerwowe, urywane i pozbawione płynności właściwej organizmom, w których krąży krew. To było jak dziwne Betlejem, jak stajnia, z której rozchodzi się promieniście rtęciowa światłość aż po najdalsze krawędzie świata, by wskrzeszać i uwalniać z mroku bezkresne rumowiska maszyn, przyrządów, aparatów i mechanicznego drobiazgu.

Hrynacz skończył, odłożył maskę, wyrzucił z uchwytu reszkę elektrody i splunął na przygasającą czerwień spawu.

– Gniołsa nie łamiołsa – powiedział. – Z pięć minut wytrzyma.

Faceci odzyskali swą poprzednią postać. Kaczmarek wskoczył na siedzenie, powajchował i wytoczył się tyłem na szosę. Wyślizgane gąsienice połyskiwały jak wielkie bransoletki. Spychacz ruszył prosto na południe, by po godzinie przepaść na dobre w sypkiej narastającej bieli. Faceci patrzyli w ślad za ciemnym zadem i gdy pług wbijał się w pierwszą zaspę, usłyszeli, jak jazgot silnika miesza się z ciszą doliny i po chwili już go prawie nie słychać.

Hrynacz zgasił światło, zamknął wrota i powiedział:

– Zawieje, zamiecie i zadupczy.

I znowu jest noc. Świat toczy się jak śniegowa kula i białe oblepia go coraz grubiej. Wystają jeszcze lasy i pojedyncze drzewa. Zaspy układają się wokół domów jak powolne fale albo półkolisty ostrza. Jest cicho, nieruchomo i daleko. Okolice zaczyna przypominać makietę wieczności. Kształty się idealizują, niwelują różnice, temperatury wyrównują i szczególnie jako siedlisko diabła ma się coraz gorzej. Gdy coś wypadnie z kieszeni,

można się z tym pożegnać przynajmniej do wiosny. Psy biegają w tę i z powrotem po wydeptanej ścieżce. Moje serce tęskni za bałaganem, za pierdolnikiem, za chaosem, tęskni do „dziada z babą brak”. Zima to podstęp idei, która przebiera się za materię, żeby wieść nas na pokuszenie za pomocą obłych kształtów, kolistych trajektorii i harmonijnych figur zwiastujących idealną rzeczywistość kropli logosu rozcieńczonej w szklance z kosmosem.

I tylko domy przechowują resztki chaosu. Można przedstawiać rzeczy z miejsca na miejsce tak długo, aż utracą swój sens. Skondensowane życie przybiera najstarsze formy. Się siedzi, przesiada, poleguje, przyjmując kształt embrionu, by ciało stawiało przepływającemu czasowi jak najmniejszy opór. Ciepło przelewa się we wnętrzościach w samowystarczalnym obiegu. O dziewiątej wieczór gasną światła i szyby rozpala ogólnoświatowa poświata kineskopów. Białe talerze anten wyglądają jak szczątki kościanych czerepów, które zanim pękły, musiały więzić jakiś mózg nadnaturalnej wielkości. I gdy wokół tężeje, nawarstwia się i puchnie nieruchomość, na dwudziestojednocalowych samsungach, daewoo i curtisach pod Matką Boską i Sercem Jezusa obrazy nabierają rozpędu niczym karuzela na Wszołkowych Łąkach. Edek wraca ze stajni, ciągnąc za sobą woń siana i nawozu, i gdy usiądzie na dobre za stołem, jego dłoń odruchowo sięga po czarnego pilota. Pod stwardniałymi palcami guziki są ledwo wyczuwalne, lecz on zna ich układ na pamięć i nie pomyliłby się nawet w absolutnych ciemnościach. W końcu te wszystkie niewidzialne fale, które niosą obrazy ludzi zmagających się z czasem i bogactwem, też muszą pokonać po omacku wielkie mroczne przestrzenie, nim dotrą aż tu. Gdy żona stawia na stole odsmażone ziemniaki ze słoniną, Harada robi właśnie szesnaste okrążenie. Wchodzi w zakręt z lewym kolanem tuż przy nawierzchni i po chwili jego czerwone suzuki idzie już jak po sznurku z rykiem otwartej na ful przepustnicy i zostawia w tyle obłe i barwne figurki reszty zawodników.

– Mają w środe szczepić – mówi żona – ale pewnie nie dojadą.

– Jakby dojechali, to zamknij Burka i sukę w stajni i zaprowadź tylko Azora – mówi Edek.

– Będą czekać – mówi żona.

– Niech szczekają – odpowiada Edek i przyciska guzik, żeby pozbyć się zwycięskiego Harady. Teraz z otchłani atmosfery zjawia się połyskliwy Michael Jackson, wykonuje kilka ruchów biodrami i na powrót przepada w elektronicznej zawiei, by zrobić miejsce dla trzech opalonych mężczyzn w jasnych garniturach. Mężczyźni idą wzdłuż brzegu, a woda jest błękitna i bezkresna. Wiatr porusza pierzastymi liśćmi palm. Obraz zmienia się i teraz jeden z facetów jedzie odkrytym autem przez rozświetlone neonami miasto. – Nie będę płacił za trzy psy po dziesięć złotych od łba – mówi Edek i przesuwając palec. Na zielonej łące John Travolta pochyla głowę i bierze rozpęd, a naprzeciw niego biegnie czarny byk. Zanim się zderzą, z granatowego nieba nad powiatem gorlickim zstępuje biały anioł z rakieta tenisową i mordercy do wynajęcia, i brązowe leniwe kobiety na leżakach, pepermint, Las Vegas, Godzilla, Rourke, mistrzowie wrestlingu, koszmary i pornosy, błękitnoocy prezydenci i kto dalej wjedzie osiemnastokołowcem w stertę piachu, siedem cudów świata, czyli Ogrody Semiramidy oraz surfing na Bermudach.

– I pięć byłoby za dużo – mówi żona.

– Koty się pochowają – mówi Edek. – Kotów nie widać.

– To koty też? – pyta żona.

– Pisało, że też – odpowiada Edek.

– I też po dziesięć? – pyta żona.

– Też – odpowiada Edek.

– Już lepiej utopić – mówi żona i zabiera pusty talerz.

A potem jak zwykle wszystko gaśnie i najstarsza ciemność spływa na Edka, na Kaczmarka, na Hrynacza i na resztę. Zmieniają się sny, ale ona trwa i niesie pokrzepienie. Zmywa i zatapia zdarzenia i rzeczy. Wzmacnia ciała. Tak jest od początku świata i tak będzie, byśmy nie umarli od nadmiaru.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75

mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl

dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa

tel./fax +48 22 621 10 48

agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl

zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl

magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl

agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków

tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2017

Wydanie III